

Pancerz we krwi

Rozdział 10: Cena miłości

Amelia zerwała się z łóżka, niczym oparzona wrzątkiem. Cała w konwulsjach, miotając się na lewo i prawo, nie mogąc się wyrwać z nocnej mary, powiedziała cicho:

– Kochany boję się... – była strwożona i opętana chęcią pocucia przyjaznego ciepła, które zdawało się być tak blisko, jak nigdy. W sumie rzeczy nie chciała tego mówić, ale kolejny koszmar, który widział jej mózg nie pozwolił klaczy spać.

Musiała to komuś powiedzieć. Komuś, kto ją potrafi zrozumieć.

Obejrzawszy się w miejsce, w którym powinien leżeć Polkon zdała sobie sprawę, że go nie ma!

Wtedy wielki smutek zagościł w jej umyśle, a na pyszczku wymalował się wielki wytrzeszcz oczu. Powolnie skuliła się w sobie i leżała przed łóżkiem, myśląc, że to kolejny koszmar.

Nie lubiła zostawać sama, chociaż była niezależną i odważną klaczą, nie potrafiła wytrzymać gdy w pobliżu nie było Georga.

Roztrzęsionym wzrokiem oplątywała pusty barak, tak pełny znajomego zapachu jej ukochanego. Szczęka zaczęła jej opadać, powieka z brwią niebezpiecznie podrygiwać, a źrenice zwężać do niebezpiecznie małych kropek. Można by rzec, że oprócz bieli i różu nie miała niczego innego, co mogłoby przypominać oczy.

Umysł zaczął wyrzucać z siebie niebezpieczne treści dotyczące Polica. „*Wykorzystał mnie! Zdradził! Zostawił mnie! MNIE!*” Powstała pełna gniewu i złości, zapominając o wszystkim, co wspólnie przeżyli.

Nie chciała pamiętać jego ratunku... tego nieokiełznanego żaru jego miłości! „*Falszywy drań! Skończony skurwiel!*” Podeszła do niewielkiego stolika z dzikim wyrazem twarzy wpatrywała się w obrączki. „*Oszukałeś mnie! Obiecałeś miiiiłoośćccć! Ekgm! Obiecałeś... nie opuścić....*” Zaczęła powolnie łkać, a każdą złą emocję wylewała w kolejnej łzy, pełnej niezrealizowanych marzeń. „*Jaka byłaś głupia! Głupia... teraz płąć!*”

Chwyciła zębami obie i cisnęła nimi o ścianę z pełną wściekłością. Brzdęk upadającego podarunku, oznaczającego wieczną miłość wypełnił całe, słabo oświetlone pomieszczenie. Złota obrączka na jej niewielkie kopytko poturlało się prosto pod jej oczy.

„Ale... to... Ahea!” Upadła na ziemię i zalewając złoty przedmiot swoimi łzami przytuliła go do swej piersi.

Czuła się dziwnie bezpiecznie, a ten kawałek szlachetnego metalu wprawiał ją w istne podwojenie jaźni. „Ale... on nie kłamał! Nie śmiałby!” Ścisnęła go jeszcze bardziej i po chwili nałożyła na prawe kopytko. Przez tą chwilę łyzy ustały i wpatrywała się w rubinowy róg i szafirowe słońce w zenicie. „Zaaaraaazzz... przecież nie narażałby się na stryczek.” „Zrozum! To wreszcie! On cię nie opuścił!” „Skąd wiesz?!” „Bo jestem tobą, a ty jesteś mną!” Podniosła głowę do góry i szepnęła dodając sobie otuchy:

– Niko... nikogo nie straciłaś – wzięła głębszy oddech i powstała z chwiejnymi nogami. – Dasz radę... Wszystko przed tobą. Będziesz matką, a Polic ojcem.

Przetarła oczy i nos drżącym kopytem, spoglądając w zamknięte okno, aby móc się uspokoić. Jednakże jakoś nie mogła się uspokoić wpatrując się w ciemność.

– On wróci i... chcesz, czy też nie chcesz pozostanie moim mężem, a ja jego żoną – zastanawiała się, jak ta miłość może funkcjonować w tym zrujnowanym świecie.

Przecież ona była z Equestrii, a on z Polkonii, kraju który wypowiedział wojnę jej ojczyźnie! „Co z tym mam zrobić? Księżniczki się nie odzywają... jakby w ogóle nie istniały. A ten... ten... Stwórca to... kto?” z wszystkich sił próbowała sobie przypomnieć każdą, chociażby najmniejszą wzmiankę o tym kimś, kimkolwiek by był. Jednak wdzierające się zimno do jej serca powodowało trzęsienie się jej kopyt i skrzydeł.

To zimno było jej wątpliwościami w sens życia w tym... piekle!

W tym raju dla śmierci!

Nie dokończyła zbierania myśli, gdyż drzwi w tym momencie wyleciały z zawiasów i opadły z jękiem na podłogę. Jej wzrok automatycznie powędrował na niewielką postać, która wtapiała się niemalże całkowicie w ciemność nocy.

Do środka wkroczył pewnym krokiem niski, pomarańczowy pegaz w zielonej puchowej kurtce i bawełnianej czapce z czerwonym rogiem pośrodku.

Amelia skamieniała w jednym momencie myśląc „Czy to się dzieje naprawdę?!” Miała przerażoną twarz, a po kilku sekundach zaczęła się cofać w głąb baraku porucznika. Sądziła, że to co widzi nie istnieje, ale stukot jego kopyt szeroko rozchodził się po jej głowie i mówił, że ten koszmar dzieje się tu i teraz!

Ogier wstrząsnął śnieg, który upadł na podłogę, zrzucił czapkę z swojej grzywy i rozpiął się pod szyją. Oczy miał przekrwione, wyraz pyska zdradzał jego wściekłość. Świadczyły o tym uniesione w górze, dygoczące brwi, buchająca para z nozdrzy i utopione spojrzenie w klaczy.

Z stukotem swoich podków zbliżał się do niej, rosnąc w ślepiach skulonej pegazicy.

– Gdzie on jest! Gadaj szmato! Ale już! – tupał kopytem o podłogę, aż odgłos niósł się po ścianach. Wpatrywał się w milczącą z przerażenia klacz, a jej przerażenie i rosnąca trwoga sprawiały, że tracił on resztki zdrowego rozsądku.

Po sekundzie dłuższego czekania uderzył ją potężnie w twarz, aż mocno uderzyła o posadzkę. Stał tuż nad nią i nie oszczędzał języka:

– Gdzie on kurwa jest!!! Mów! – złapał ją zębami za włosy i stymulując się w sobie rzucił dziewczyną na łóżko. Ona była za bardzo w szoku, aby wydać jakikolwiek dźwięk. „*To się nie dzieje! To się nie dzieje!*” Jednakże z błędu wydarł ją złowieszczy śmiech Boarda.

– Hahahaha! Jesteś już martwa, ale o tym nie wiesz! Hahaha! – zastrzygła niespokojnie uszami i z bólem spojrzała na pomarańczowego ogiera, jakby to, co się stało przed chwilą w ogóle nie miało miejsca.

– Ahahaa! – śmiał się przechylając na lewo i prawo. Amelia rozpoznała ten śmiech, otrzymywała go za każdym razem, kiedy trafiał do niej poważnie ranny kucyk, który usłyszał, że z tego wyjdzie. Jednak ten śmiech był o wiele gorszy, bardziej szalony i nienaturalny. – No... i jak było?! Nieźle musiałaś rzeć, gdy cię rznął jak ostatnią kurwę?! Coooo! – spostrzegł mokre łóżko i trzęsące się tyle kopyta klaczy, chroniące jej intymność. – Ja do takiej kurwy to bym nawet nie podszedł! Co dopiero bym się z nią rznął! Tfu! – splunął na łóżko i obnażył swoje żółte zęby z których ściekała krew.

Co on takiego robił?!

Wtedy spostrzegł obrączkę, która wypadła z jej kopytka od potężnego ciosu.

– O! Szmata chciała się sprzedać na targu. Cooo? Dał ci jakieś gówno i jesteś cała jego!? Heh! Żałosne, jak ty i Equestria. Kurwa w burdelu ma więcej niż żołnierz klacz, a takie coś jak ty nawet na uznanie nie zasługuje! – podszedł do obrączki i zgiał ją potężnym uderzeniem, aż podłoga zatrzęszczała. – Wszystko się sypie... nie powstrzymasz tego – powiedział, a obrzydliwy uśmiech pojawił się na jego choro pomarańczowej twarzy.

Stał ponad metr od niej i czerpał garściami z psychicznego bólu, który zadawał sanitariuszce. Lubował się w takim zachowaniu, a sprawienie wszelakiego cierpienia stało się niemalże sensem jego życia. Powolnie oblizywał wargi i rozprostowywał skrzydła, aby wywołać większe przerażenie u niej. Wolno oddychał i rozkoszował się zapachem strachu, który wyczuwał jak nikt inny.

– Ooooo takkkkk – mruknął, a z ust zaczęła ściekać mu czerwona ślina. – Nie ma to jak trup przed spaniem.

„*Czy on powiedział TRUP!? Co się stało z... tym Equestrianinem, że teraz jest potworem!?*” myślała Amelia, mając przed oczami inscenizację zabójstwa ojca Blacka przez jego własnego syna.

– Czemu – wydarło się z jej roztrzęsionych ust, które, jak reszta ciała, była ustawiona w bólu.

– HA! Czemu?! Się kurwo pytasz!? Już mówię! – uderzył ją znowu kopytem po głowie, a klacz wrzasnęła odskakując od niego, ledwo powstrzymując płacz. – To wszystko dlatego, że nienawidzę TEGO!!! – kopytem zdjął czapkę i zaczął gryźć róg. Kiedy odpadł,

wypluł ją i rzucił pogardliwym spojrzeniem na niedawne nakrycie głowy. – NIENAWIDZĘ TEGO MUNDURU!!! – warknął na nią z całą swoją siłą, co sprawiło, że klacz zwinęła się w kłębek.

– Swoją nienawiść przenoszę na swoją najprawdziwszą pasję! Na ból, zgorzenie, cierpienie, sadyzm i śmierć! To gównu, które noszę to środek do jego uzyskania! A że ktoś każe robić to, co lubię to ma mój szacunek – Amelia prychnęła przez łyzy, nie sądząc, że on ma szacunek do kogokolwiek poza sobą. – Przeżywam tu każdy dzień, jak całe życie i... ciągle mi MAŁO! – tutaj spojrzał na nią nieco pogodniej, ale jego darcie przypominało jakby stał się tylko jeszcze gorszy niż przed chwilą. – Teraz już wiem czego chcę. Odnalazłem swój cel, na chwilę obecną, ale go mam i za chwilę zamienię go w czyn.

– Co zamierzasz? – zapiszczała, nie myśląc zbyt wiele, toteż od razu zamknęła usta i cała dygocąc się odwróciła przerażoną głowę od jego oblicza.

– Szczerze... tak między nami to... nawet mi cię szkoda suko. Stałaś się moim osobistym zwycięstwem i w sumie rzeczy podziękowałbym ci, ale skurwionej szmacie dającej za nic, również nic się nie należy – wziął głęboki wdech i pokiwał bezradnie głową jak lekarz, który ma przed sobą umierającego. – Ty go kochasz. Kochasz tego skurwionego jebacza POLKONA! ON JEST PRZY MNIE NICZYM!!! – wrzasnął potężnie i zaczął zbliżać się do niej. – Widząc waszą miłość nie mogłem się oprzeć. Teraz TY, equestriańskie gówno przyniesiesz mi radość! Staniesz się moim środkiem do celu! – różowo oka nie mogła w nijak przetrwać jego pokręconych słów, ale fakt kolejnego uderzenia w głowę natychmiast ją uprzytomnił, że on chce jej śmierci.

Jednak. Pomimo ciosów i prawdopodobnej śmierci, stanęła na równe nogi. Rozwinęła skrzydła i odsunęła się o spory kawałek od brutala krzycząc:

– Nie dam ci się zabić!

– Zginiesz prędzej, czy później! Ale z moich kopyt... MASZ MI DAĆ RADOŚĆ!!! – mówiąc to rzucił się na nią i powalił z powrotem na łóżko. Skrzydłami przyblokował jej nogi, a oddech spokojnie pozbawił tchu dziewczynę. „ON JEST TRUPEM!” wykrzyczała w myślach klacz, odkrywając że jest całkowicie przyblokowana, bezbronna i słaba.

– Wspomniałem, że będziesz środkiem do celu – próbowała się wyrwać, ale kopniak w skrzydło pozbawił jej nadziei na ratunek. Wydała z siebie cichy jęk, oblepiony bólem i przestała sprawiać jakikolwiek opór. – Dobra kurwa! A teraz słuchaj – syknął. – Ty dziwko się nie liczysz w żaden sposób. Chodzi mi o tego debila Polica. Muszę zniszczyć tę miłość. Tylko wtedy się zaspokoję.

Klacz nie pozostało dużo życia, ból pulsował paląc ją żywym ogniem wszędzie, gdzie tylko się poruszyła, a myśli i oddech utrudniały niesamowicie trudne położenie. „Czego ten kurwidupek ode mnie chce!?”

– Chcę widzieć cierpienie w jego oczach. To oszałamiające mnie uczucie, kiedy będzie rozpaczał, po tym jak ujrzy moje największe dzieło! Straci zmysły, a ja tylko wypełnię jego wolę – odpowiedział pokrętnie, nie dając jej czasu na przeanalizowanie tych słów. – Obiecałem coś pewnej suce i mam zamiar tego dotrzymać – zbliżył się do jej oczu o

centymetry i pocałował. Smakował gorzej niż śmierdział, a jego pocałunek to jak całować się z zardzewiałą blachą sprzed pół wieku.

Jej usta uciekały i kręciły się, aby uciec przed paskudnym smakiem. Po kilku chwilach szamotania się ich głów odkleił się od pegazicy i stwierdził z chorą satysfakcją:

– Poczuj smak śmierci. Zabijając to coś kim w ogóle jesteś, mam zamiar sprawić w szaleństwo Polkona, któremu oddałaś się, jak najzwyczajniejsza zdzira. Jesteś warta mniej niż wraki tych buraków z Equestrii.

W klaczy zapaliła się czerwona lampka, oznaczająca zagrożenie, ale nie dla niej lecz dla Georga!

– Ja cię zabiję, a twoje sponiewierane ciało wypali mu oczy i duszę. Rzuci się do ciebie i z opętaniem w oczach, a ja jako dobry żołnierz spełnię jego prośbę i ZATOPIĘ MU NÓŻ W GŁOWIE!!! Konając pod moimi kopytami powiem, jak to wrzeszczałaś, jak ostatnia kurwa, kiedy cię zabijałem! AHAAHA!!! – jego śmiech był podły, bił niechęcią do wszelkiego życia i za chwilę miał popełnić rozkoszną rzecz, czyli odciąć jej głowę.

Klacz wyraźnie słysząc jego słowa, nie wierzyła, że tak to się skończy. „*Amelia! On się zabije jeśli teraz dasz mu się zabić! Kochasz go! On KOCHA CIEBIE! Masz kurwa ŻYĆ!*” Z zaciśniętymi zębami i spoglądając w jego bezduszne oczy, ugryzła go ze wszystkich swoich sił w nogę.

– Ożesz! – ryknął i odskoczył od niej, jakby nie wierząc w to co się stało. „*Jak ta szmata śmie?*” nie skończył myśli, ponieważ potężny cios w pierś sprawił, że poleciał na krzesło Polica. Z lekko zamroczonym umysłem i ciężko łapiąc oddech spoglądał na nią.

Żrenice niemalże zwęziły mu się do zera ze strachu przed wściekłą klaczą.

Tak, Amelia zbliżała się sapiąc potężnie, z oczu puszczać pioruny, a każdy jej krok dudnił, jak ryk silnika T-34. Włosy oplątywały jej twarz, sprawiając wrażenie straszliwie źle zgojonych ran, pomiędzy których błyszczały resztki jej, już czerwonych oczu. Uśmiech, który opanował jej usta obnażał jej śnieżnobiałe zęby. Pegaz odczytał z tego widoku jedno słowo: „ŚMIERĆ”.

Zbliżyła się z strasznym grymasem twarzy i chwytając go za kołnierz cisnęła nim o ścianę ze wszystkich sił jakie tylko posiadała.

Board stracił większość sił na szamotaniu się z nią i wydzieraniu ryja do jej uszu, a jeszcze wcześniej zabijając pielęgniarkę, która próbowała mu dać zastrzyk uspokajający.

Huk uderzającego o ścianę baraku Boarda zaćmił świat, aż jedna z żarówek nie wytrzymała i pękła zasypując niebieskiego pegaza jasnymi iskrami. Na ten przerażający widok sombryjczyk wyciągnął nóż, po czym drżącym kopytem cisnął w jej głowę, krzycząc:

– Giń skończona pizdo! – dalsze słowa zamarły w jego gardle, widząc jak klacz zasłania się skrzydłem i wykonuje obrót w poziomie o 360 stopni metr nad podłogą, jednocześnie chwytając głównię noża zębami. Istny pokaz mistrzowskich umiejętności

zakończyło przygwożdżenie jego głowy do desek ściany.

Sanitariuszka była przepelniona adrenaliną, chęcią przeżycia i żołądkiem spragnionym sprawiedliwości. Ona sama chciała ją wymierzyć!

Przepelniała ją także gorycz, ale najpotężniejszą myślą dzięki której wstała na kopyta była świadomość utraty Polica.

Nie mogła go stracić!

NIE I JUŻ!

– JA GO KOCHAM! – wydarła się do ucha sierżanta, po czym ścisnęła je swoimi zębami, nieco wcześniej przekładając nóż do kopyta. Black zaczął się wyrwać i drzeć, ale wyrwanie mu ucha sprawiło, że ucichł, jęcząc z bólu i nie myśląc za wiele chwycił się za brakującą część ciała.

Odgryzła mu się! Dokonała i wymierzyła mu zemstę!

Ale jeszcze nie skończyła.

Co to, to nie!

Krew spływała po jego lewej stronie głowy docierając do oka, policzka, nosa i ust. Pegazica wypłuła część urwanej tkanki i oblizła wargi, aby rozmazać krew po sobie.

Przeżaszony pegaz wzdygnął się, widząc jej szaleństwo i ogarniającą ją chęć mordy. Trzęsącymi się kopytami wyczekiwał na cokolwiek, co mogłoby mu pomóc.

– Chciałam to zrobić od dawna – powiedziała ścisłym głosem, a uśmiech na jej twarzy tylko rósł. – Tyle razy mi się śniło w koszmarach, że co noc obmyślałam, co mam z tobą zrobić w tej sytuacji. Mnie możesz zabić... ale Polica NIE DAM SKRZYWDZIĆ! – ryknęła i wałnęła go kopytem w niekrwawiącą stronę twarzy.

Uderzony zakwiczał, jak prosię i opadł głową na trzymające je kopyto dziewczyny.

– Nie tak prędko! – chwyciła go za grzywę i przybliżyła do swojego uśmiešku, jakby chciała go pożreć w całości. – Zabójca! Nieczuły skurwiel i... nie pegaz! – obraziła go najmocniej jak tylko mogła, ale on nie miał już na tyle siły, aby skontrolować. Chociażby słownie. – Przez ten cały czas byłeś katem! Ale ten czas się skończył! W imię wszystkiego co kocham! PRZEKLINAM CIEBIE!!!

Podniosła kopyto do góry, a jej chory uśmiech zszedł z twarzy. Krwawe usta rozwarła w dzikim ryku, oczy jej zbieleły, brwi poszły w dół, a włosy zjeżyły jak igły na sośnie.

– AAAAAA!!! – wrzeszczała i z niemalże białymi oczyma patrzyła, jak potężne uderzenie noża przechodzi między niewielkimi tęczęwkami Boarda.

Nóż wszedł przez obszar T bez większych oporów, a rozkoszne pęknięcie czaszki

wprawiło w drżenie jej kopytko. W następnej chwili pojawiła się szczątkowa krew, aby po następnej sekundzie eksplodować na twarz niebieskiej pegazicy.

Pchnęła go głębiej, aż poczuła jak zanurza się w głowę i pozostałe galaretowate wnętrzności tego psychola.

On jedynie, co miał do powiedzenia to ciche wypuszczane powietrze z płuc. Wylupiaсте oczy skierowane w jej kopyto, tworzące wielkiego, krwawego zeza i coraz słabsze podrygi jego ciała reagujące na ból.

W momencie uderzenia noża o ścianę natychmiast wyrwała go z trupa, powodując rozerwanie się połówek mózgu na masę poplątanych linek, ociekających białym i śliskim osoczem.

Amelia wpatrywała się, jak krew zaczyna wylewać się w wielkiej rany i zaczyna zalewać oczy, nos, usta, z których wyleciało jej jeszcze więcej i spływała po nim, jak woda podczas prysznica. Wypuściła trupa z swojego żelaznego uścisku i pozwoliła mu bezładnie paść na deski.

Bez większych emocji, oprócz żalosego widowiska, które malowało się przed jej oczami, czuła, że zrobiła to, co powinna zrobić.

– To za Polica – po czym splunęła prosto w rozwaloną głowę. – A to za mnie! – kopnęła go w krwawą pozostałość twarzy, aż całe ciało uderzyło o ścianę i znieruchomiało z makabrycznym strachem wypisanym przez czerwone oczy i wywalony jęzor ściekający krwią i mózgiem.

Wtedy coś upadło na podłogę, a klacz skierowała zdradziecko spokojny wzrok na lewo. Leżącym przedmiotem okazało się... ich wspólne zdjęcie, które dopiero teraz spostrzegła.

Oboje stali razem na białym tle, wpatrywali się radosnym wzrokiem na obserwującego, a ich wspólną radość wyrażały lekko zwinięte ogony ledwo widoczne na fotografii. On miał na sobie swój galowy, zielony mundur i czapkę oficerkę, również tego samego koloru. Włosy ścięte na krótko i postawione na sztorc uszy. Miał harde spojrzenie, ale niewielki uśmiech sprawiał wrażenie całkiem przyjaznego typu, jakim w realu był.

Ona była ubrana w equestriański, szarawy mundur z czerwonym krzyżem na lewym kopycie i szarą czapkę. Stykała się z ogierem swoim ciałem, a na jej niebieskiej twarzy malował się uśmiech, potęgowany różowymi oczyma i czarną grzywą.

Wyglądali, jak polowe małżeństwo, tylko że z dwóch stron barykady. Znak władzy księżniczki miała przysłonięty, ponieważ był to jedyny warunek do wykonania tego zdjęcia, z resztą sama nie wiedziała dlaczego zostało ono im wydane. Przecież romantyzm aż bił od tego obrazka, byli wtedy tacy szczęśliwi... pogodni... radośni i co najważniejsze... byli razem.

BYLI.

Podeszła do niego chwiejnym krokiem, tępo wpatrując się w nieznaną parę pomiędzy drewnianymi ramkami i kryjącą się za szkłem. „*Kto... to?*” Nie mogła rozpoznać samej siebie, choć tą twarz widziała prawie codziennie w odbiciu lustra. Zbliżyła swoje spojrzenie, a w szkłe błysnęły jej różowe oczy, przyprowadzając ją o niespokojny oddech.

– Już... jesteś bezpieczny. Uchroniłam cię od tego skurwiela – szepnęła i czule zbliżyła nos do obu postaci. – Teraz... już nic ci nie grozi. A teerraz cię odnajdę – szeptała z zamkniętymi oczami, z których ściekały łzy, przygniatające do ziemi obrazek. – I na zawsze będziemy razzeemmmm.

Z ściśniętym sercem, pompujący najprawdziwszy ogień do jej ciała wyleciała przez wywalone drzwi z wielką prędkością, pozostawiając rozkładającego się Boarda na pastwę wszelkiego paskudztwa zalegającego na tym świecie.

Chciała dla niego jak najgorzej, ale też nie chciała się stawać do niego podobna, gdyż pamiętała słowa Georga „*Nie chcę się zniżyć do poziomu tego śmiecia.*” Toteż zadała mu stosunkowo szybką i brutalną śmierć, myśląc „*Nie skrzywdzisz MOJEGO UKOCHANEGO!*”

Kiedy tylko wyleciała na zewnątrz trzy wiązki oślepiającego, białego światła oblepiły ją zmieniając obraz świata. Nieważne, w którą stronę się poruszyła biel była wszędzie, a dezorientacja uderzała w większą mocą.

Spanikowanym ruchem skrzydeł udało się jej zmienić położenie i na pełnej prędkości zleciała z promienia światła ukrywając się z gąszczu baraków. Szperacze, jak wściekle psy latały w te i na zad, aby dojrzeć uciekiniera i móc wskazać go dwójkom i trójkom dość niechętnie patrolującym śnieżne uliczki obozu.

Wieży były swego rodzaju znakami w tym labiryncie baraków i czołgów, które wskazywały drogę do poszczególnych części kompleksu. Znajdowały się na każdym rogu, pełniąc rolę zarówno tablic informacyjnych, jak i dodatkowe zabezpieczenie przed uciekającymi więźniami. To właśnie dzięki nim nie raz odnajdowała szpital i barak porucznika. I właśnie dzięki nim również mogła zakończyć swój żywot, gdyż obok szperacza był zamontowany ciężki karabin maszynowy, mogący zrobić niezłą sieczkę z jej ciała.

Pomimo trudności sytuacji w jakiej się teraz znalazła, nie mogła liczyć na litość ze strony czerwonych.

Dziwił ją fakt, że żadna z wież nie otworzyła ognia.

Odpowiedzią byli śpiący żołnierze, którzy mogli zginąć, kiedy ona unikałaby kul. Mimo wszystko nawet się cieszyła, że żaden z nich nie zginie przez jej zbrodnię. Przebywając prawie pół roku w tym szambie nabrała swego rodzaju respektu dla tych żołnierzy, których ratowała. Wbrew wszelkim plotkom oni byli nawet bardziej mili aniżeli sama mogłaby to przyznać, ale doskonale wiedziała, że nie mogła liczyć na ich pomoc.

Była winna śmierci.

Zabiła oficera! Co z tego że był psycholem i każdy by jej tylko podziękował, ale to był żołnierz Sombry!

Krótko mówiąc nie miała już czego szukać w tym obozowisku sombrian w propagandowej wilczej skórze.

Unikając światła, kryła się w ciemnościach, jak złoczyńca ścigany przez prawo. Czuła się dokładnie jak Polic, kiedy to on ją ratował od utraty zmysłów. Kierowała się na wschód, a mijając dwa razy podobne 'skrzyżowania' znalazła się przed murem z drutu kolczastego, który co sto metrów urywał się, aby było dostatecznie dużo miejsca dla strażnicy bądź stacji rozdzielnej prądu, kierujący energię po całym kwadracie.

Kryjąc się jakieś dwadzieścia metrów od bramy za koskami na śmieci, widziała rozchylone wrota strzeżone przez rząd latarni, stojących po lewej stronie. Rzuciły one promienie pomarańczowego światła na tę bramę. Uznała, że jeśli nie chce się wystawiać na pewny ostrzał z maszynówek musi przelecieć przez bramę, a nie tuż nad murem.

Przecież nie będą strzelać po sobie.

Prawda?

Jednocześnie, mając głowę pełną myśli jak to zrobić, żeby nikt się nie zorientował jak przelatuje, ktoś z dalszej części kompleksu podniósł alarm. Głośny dźwięk wydobył się z wszystkich megafonów, ustawionych przy podstawach wszystkich wież obserwatorów. Wiązki białego światła nadal poszukiwały pegaza, którego od wolności dzieliło tak niewiele.

Czy dwadzieścia metrów do wolności to dużo?

Dla Amelii bardzo dużo.

Ale tylko te walone dwadzieścia jej zostało!

– Cholerne szperacze. Żeby tylko nie strzelali do siebie, bo – przełknęła cicho ślinę, powstała po szaleńczym rajdzie do wolności, do której pozostało tak niewiele. – będzie kiepsko.

Pełna nadziei na powodzenie swojego planu zniosła się ponad dach owego baraku i unikając światła poprzez piruet puściła się pędem w dół, aby przelecieć przez bramę.

Jej jedyną drogę do wolności.

Jej oczom ukazała się trójka strażników, która wybiegła z lewej strony prosto na tor jej lotu. Zasłonili oni jej jedyną drogę ucieczki, ale ona się nie podda.

NIE PODDA SIĘ!

Mając w oczach błyski ich karabinów, ścieśniła lot, zmieniając się w strzałę. Poprzez ścieśnione przed sobą powietrze wpatrywała się wprost na oniemiałą trójkę. Nie miała się jak uchylić, ale liczyła na wygraną ‘tchórza’ i zdobycie biletu do wolności.

Jeszcze odrobinę!

Oni, pomimo światła latarni wydawali się jej czarnymi zjawami, które przybyły, aby ją pojmać i w szale dzikiego gniewu ogołocić jej ciało z ostatniego kawałka mięsa.

Zaciskając zęby i zmrużając oczy, czując oplatający ją wiatr prześmignęła się niedużo jak pół metra nad ich głowami!

Nie mieli szans na reakcję. Wszystko działo się za szybko. Pegazica była zbyt szybka, a wielki powiew wiatru uderzył po ich pyskach.

Obrócili się w stronę otwartych wrót, pilnujących przez dwie milczące wieże i patrzyli, jak dziewczyna znika w mroku nocy, niczym zjawa, albo jakiś duch z wielu opowieści, jakie słyszeli w dzieciństwie.

– Vinci... mamy przepierdolone po całości – wydarło się środkowemu kucowi, dzierżącemu na grzbiecie swojego Mosina.

– Cóż Skladoc... w sumie to niewiele widziałem – odparł równie skołowany kucyk po jego prawej.

– Ale... – przerwał trzeci, który nie mógł pozostać cicho.

– Zamilcz Riffkin! – wrzasnął środkowy i szybko dodał: – Zamkniemy bramę, a tego się tu nie stało. Nigdy. Zrozumiano!?

– Tak jest towarzyszu kapitanie! – wrzasnęli towarzysze Vinciego i wszyscy pognali, aby zamknąć wrota oplątane drutem kolczatym i udawać jakby nie stało się nic.

Amelia była już daleko do drutów kolczastych, była daleko od nieustannej wątpliwości, czy przeżyje ten i następny dzień.

Ona była WOLNA!

Kierowała się w miejsce niedawnej bitwy, którą dostrzegła, po dopalających się wrakach na horyzoncie. „Jeszcze chwila! Jeszcze... Wytrzymaj!” myślała, co chwilę przecierając spocone krwią czoło swoim czerwonym kopytem. Ta brudna maź, która płynęła w żyłach Boarda już nie robiła jej żadnej różnicy, nie myślała o tym znaku zbrodni. Krwi innego na swoim ciele.

Wpatrywała się w nieprzeniknioną ciemność, czerń jaka zdarza się tylko raz w życiu. Sprężając w sobie wszystkie siły, jakie jej tylko pozostały, leciała na pełnej prędkości do

tlącej się nadziei, aby odnaleźć kogoś, kto był najważniejszy w jej życiu!

Bo przecież gdzieżby mógłby być jej jedyny o tej porze, aniżeli na akcji?

Swojej pierdolonej misji wykonywania rozkazów!?

Klacz nie rozumiała jego zachowania. Dlaczego on ich słuchał!? Przecież nie był złym kucykiem! Tylko źle kierowanym.

Kolejne machnięcia skrzydłami wprawiały ją w ostry, pulsujący i nieustający ból, a każdy kilometr przysparzał ją o coraz częstsze przecieranie oczu, nie z pędu powietrza tylko, wręcz wylewającej się z niej troski o życie tego Polkona.

Wewnętrznie się gotowała z natłoku doznań dzisiejszego dnia, ale jeszcze się dzień nie skończył. Pracowała normalnie, potem chciano ją zabić, następnie została żoną i kochała się z swoim jedynym, którego szukała przez całe życie, ponownie groziła jej śmierć i sama zabiła, a w końcu wywalczyła sobie wolność do piekła codzienności!

Umierała w tym obozie każdego dnia, dręczona nocnymi koszmarami, wrogością wobec niej i jej pacjentów, co chwilę groząc jej wywózką na Sybir. Nie raz rozmyślała nad podcięciem sobie żył, ale ten ogier przywrócił ją do żywych.

Była mu wdzięczna za nieświadome uratowanie życia, o którym mu nie wspomniała. A teraz mogła tego czynu pożałować, jak nigdy wcześniej!

Była sama w baraku dla jeńców, gdyż resztę wywieziono, a za chwilę miano przyprowadzić następnych. Stojąc bezradnie przed oknem i patrząc na bitych oraz upokarzanych jeńców, widziała jak Equestria, którą знаła umiera na jej oczach.

Pełna żalu, łez, niewypowiedzianej wściekłości i świadomości o tym, że oni zginą nie pozwoliła jej dłużej znosić tego miejsca.

Miała przy sobie stołowy nóż. Tuż, tuż przy kopycie, kiedy w blasku wtaczającego się słońca do środka, wszedł ów Polkon, który nie pozwolił jej umrzeć, tylko przeciągając jej marny żywot.

– Dlaczego mam tu zostać?! – zapytała nie patrząc na niego i chowając ostrze.

– Mam propozycję...

– Nie interesuje mnie nic od ciebie! – warknęła i spojrzała na niego ostro, a on spokojnym krokiem ruszył w stronę pegaza, jakby nic się nie stało. Jakby krzyki wydobywane z gardeł jeńców nie miały znaczenia, jakby to, że w przeciągu kilku miesięcy umrą również byłaby dla niego niczym!

– Skoro nie, to trudno... kolejni pójdą na cmentarzysko, a mi to nie idzie w smak... myślałem...

– Co myślałeś?! – wydarła się po nim, przecierając oczy od łez na samą myśl o tym przeklętym miejscu. – Czy w ogóle potrafisz myśleć!?

– Owszem, ale widok kolejnych trupów tam – wskazał kopytem w stronę pola śmierci. – pozbawia mnie zmysłów! Co myślałaś?! – wrzasnął, aż podskoczyła spod okna, przecież to ona jest tu poszkodowana... NIE ON! – Że sam nie chciałbym tam być! Leżeć i gnić zamiast innego, który zasługuje na życie, a nie taki ktoś, jak ja! Wiesz ile razy mnie korci, aby palnąć sobie w łeb! – zbliżył się do niej jeszcze bardziej i wyciągnął pistolet u pasa. – No już. Zrób TO! – wepchnął jej TTeka w kopyto i przystawił do swojej skroni.

Pojechał na pełnym gazie, a robiąca wielkie oczy Amelia nie wiedziała co się wokół niej dzieje.

To nie było logiczne! To było na pełnym spontanie!

To, według niej nie powinno się zdarzyć! Przecież on był podoficerem!

To nie mogło się dziać!

Oszołomiona takim obrotem spraw nie wiedziała, co odpowiedzieć i co gorsza, nie wiedziała co ma z tym fantem zrobić. Pistolet TT ciążył jej niesamowicie, ale była gotowa na oddanie strzału.

Raz, a dobrze! Miała go na wyciągnięcie!

Nie mogła spudłować.

Chociaż ten wzrok... ten obdarzony brakiem emocji wzrok, przeżartego na wylot wojną Polica, sprawił, że zadrżało jej serce.

Wszystko było mu jedno! Nie miał celu... nie wiedział, po co ma żyć.

Ale on prosił ją o pomoc! Czyżby chciał, aby mogła go uratować? Albo też nie tylko o niego samego chodziło?

Narzędzie mordu upadło z wielkim trzaskiem metalu na podłogę, a pegaz odsunął się jak oparzony od kuca ziemnego ciężko dysząc i łapiąc się za pierś. Przecież ona nie mogła nikogo zabić!

– Jeśli nie chcesz zabijać, bo to nie twoje przeznaczenie. W zamian za to, ratuj. Nie ważne, że wrogów, ale błagam – upadł na kolana i spoglądał głęboko w jej różowe oczy, przepełnione łzami za to, że miała popełnić zbrodnię. Pod wpływem tej szarości, aż zrobiło się jej nader gorąco. – Pomóż uratować te kucyki przed śmiercią – jego wyraz twarzy wyrażał najszczerszą troskę o każdego żyjącego w tym zadupiu. – Jeśli nie to pozwól im chociażby godnie umrzeć.

Zmieszana klacz. Pełna wątpliwości, ale i czegoś w kształcie nadziei, kiwnęła niepewnie głową. Z pełnym przerażeniem dojrzała tę iskierkę zapalanej nadziei w źrenicach zielonego podoficera. Poniekąd chciała się tutaj przydać w jakimkolwiek sposób.

Lecz była po prostu przeznaczona do ratowania życia, a od niego była większa siła i przebicie niż z samej doktor Fluttershy.

Nie mieli tutaj nic, jeśli chodzi o pomoc medyczną, a nawet ukazywana w jakimkolwiek sposób była surowo karana. Nie mogła odmówić w takiej sytuacji. Po prostu nie mogła!

Czyżby brał ją na litość?

Możliwe iż tak było, ale dla tego kuca, poniekąd było warto.

Obecnie leciała prosto do wraków, które lekko jaśniały wśród czerni, ale to nie one były jej celem. Mijała coraz mniejsze słupy gryzącego w nos i oczy dymu, poszukując swojego celu.

Czuła, że jego tu znajdzie. Czuła to, choć ciężko było to wyjaśnić. Wiedziała, że tam gdzie bitwa, to on też jest bez dwóch zdań.

Przetrząsając kolejne wraki, znajdowała w nich tylko powyginane, rozpołowione, na wpół spalone i totalnie zmasakrowane ciała czołgistów, które na dodatek cuchnęły spalonym mięsem. Oj jak nienawidziła mięsa, a zwłaszcza te kuce, które zrobiły z niej główny składnik swojej diety, czyli obecnie martwego Boarda.

Była pewna, że gdzieś tutaj powinna znaleźć swojego żyjącego męża, dlatego pewnie krzyczała, wchodząc do każdego z rozwalonych czołgów:

– Polic!

Szukała, dopóki nie skierowała swojego spojrzenia na wprost, jakby na ‘cel’ zniszczonych T-34, ustawionych, jak się jej wydało w pewnym pół kole.

W oddali ujrzała majaczący kształt, nieudolnie próbujący ukryć się przed jej różowymi oczyma. Poznała go od razu, ale nie do końca pamiętała nazwy tej stalowej konserwy.

Rozpostarła skrzydła i ostrożnie podleciała do wraku ustawionego frontem do wszystkich maszyn Sombrii. Nie wiedziała dlaczego, ale coś jej chciało dać znać, że to czego szuka będzie w miejscu zniszczonego pojazdu Equestrii. Powolnie machała skrzydłami na dwóch metrach, gdyż w razie nagłego ataku mogła uciec.

Tylko dokąd?

Zbliżywszy się na odległość około dwudziestu metrów od tej kupy stali coś zaczęło

majaczyć, właśnie jakby we wnętrzu tego pojazdu.

Przerażona nie na żarty klacz z powodu nagłej zmiany oświetlenia poznała, że czołg płonął od środka. Odruchowo skuliła się za rozbitą lewą gąsienicą czołgu. „*Przecież jestem tu sama! SAMA!*” myślała porażona tym argumentem, że ktoś tu najwyraźniej jest, gdyż trupy nie odznaczały się żadnym cholernym samozapłonem!

Wiedząc, że w ciemności grasuje coś gotowe zabić ją bez wahania stłumiła swój głos do zera.

Skuliła się do siebie i z łopoczącym sercem rozglądała się po okolicy najbliższych dziesięciu metrów. Nastąpiła cisza, jak nigdy. Wystraszonej klaczy wydawało się, że jej puls jest teraz jedynym dźwiękiem okalającym cały świat. Ciche „*Lup, lup, lup.*” przerażało ją do szpiku kości, a świadomość, że ona sama powodowała ten dźwięk, przerażał ją jeszcze bardziej.

Natychmiast zamarła, kiedy jej oczy powędrowały wzdłuż gąsienicy. Cała zaczęła się trząść a z jej ust wydał się cichy syk, jak u węża. Trzęsącym się kopytem i narastającym niepokojem przetarła swoje oczy w nadziei, że to co widzi to najzwyczajniejsza mara jej umysłu.

To nie było wykluczone, poprzez zażywane nieświadomie narkotyki miała skrzywione poczucie rzeczywistości, a kumulowane w sobie uczucia, wyzwolone dzisiejszej nocy wybuchy niczym wielki wulkan.

Usta i skrzydła opadły jej jak nigdy, jakby utraciła nad nimi władzę!

Nie wierzyła w to co widzi!

Z szeroko otwartymi oczami, prawie znikomym oddechem i bladą twarzą upadła na zimną ziemię. Milczała, sądząc, że to co widzi stanowi wybryk jej wyobraźni, który za sekundę się rozwieje... że się obudzi leżąc na stole operacyjnym, którego właścicielem byłby ten skurwysyn Board. „*Nie... Nie, nie, nie, nie... To się nie dzieje!*”

– To się nie dzieje!!! – huknęła na całe gardło, załamując kopyta w górze, gdyż dopiero teraz do niej doszło, że to coś, leżące kilka metrów od jej kopyt, ciało niegdyś należało do Polica. Do oczu naszły jej potoki łez, nos prawie przestał przyjmować tlen, do uszu naszedł ogłuszający ryk swojego lamentu.

Po chwili szału przysła kolej na rwanie grzywy we wszystkie strony, wrzeszcząc i nie mogąc patrzeć na ściervo Georga. Ogarnęła ją totalna panika i absolutna niemoc.

Kolejne strzępy jej niegdysiejszej czarnej grzywy spadały na ciało, przyprawiając je o długie czarne blizny na jego mundurze. Nie patrzyła na swoje zachowanie, nie mogła zrozumieć, że jej ukochanego już nie ma wśród żywych.

To pewnie dlatego przysła jej następna fala obłędu.

W pewnej chwili obróciła się do ciała i na jej twarzy zagościł szkaradny uśmiech, który powiększał się z sekundy na sekundę. Zaczęła głośno cmokać, a jej oczy zaczęły się powiększać.

– Koch... kochanie. S słysz... słyszysz mmmnie? – spytała się ciemnej przestrzeni, w której leżał Polic. – Pro... proszę wysłuchaj mnie – mówiąc coraz bardziej szalonym głosem pogłaskała jego policzek, a czując jego ciepłą sierść zarżała lekko.

Wtedy nastąpiło coś czego się nie mogła za nic spodziewać.

– Georg!!! – wrzasnęła bez opanowania, widząc, jak ciało zaczyna drgać pod wpływem jej dotyku.

Poczuła to! Poczuła jego ruch!

To nie była mara! Złudzenie! Czy też płonna nadzieja!

Polkon żył!

Bez większego wahania związała go w swoim stalowym uścisku, odczuwając, że jej ukochany nie jest taki ciepły, jakby wskazywał na to policzek. Wiedziała, że ogier za długo przebywał na zimnie i mógł zapaść w ‘śpiączkę lodowca’. Oznaczało to tyle, że jeśli szybko się go nie pobudzi jakimś ciepłem, to skubany zmieni się w przysłowiowy lód.

Bez większego zastanowienia zaczęła obściskować go swoimi skrzydłami, jechać po nim przednimi kopytami i tulić swoją rozplakaną twarz w korpus Polica. Dla zwiększenia efektu rozpięła jego lodowaty mundur i poczęła wypychać wolną przestrzeń swoją grzywą.

Świadomość utraty swojej miłości przez śnieg, zimno i nadciągającą zimę była nie do zniesienia. Dodatkową motywacją na rację rozpoczętych działań ogrzewających jego ciało był fakt, że wyczuła jak serce Georga zaczyna bić szybciej.

Wmasowywała samą siebie w zmarzniętego, a każdy powolny ruch pochodzący od zielonego oficera wzmacniał jej aktywność. Przecież on ją niegdyś uratował.

Teraz przyszedł pora spłaty długu.

Nie tracąc nadziei na uratowanie go, zaczęła rozgrzewać jego usta. Przykleiła się do niego swoimi wargami i rozpoczęła chaotycznie wwierać się ze swoim ciepłem do środka jego ust. Eksplozja dwóch zmiennych odczuć, jakimi było zimno i próbujące je zastąpić ciepło wywołało szok u obojga.

Powolnie, ale zawsze jakoś język z drugiej strony zaczął reagować i odpowiadać na wewnętrzną rządzą coraz większego ciepła. Jego prośba została spełniona niemalże natychmiast, a wijące się kopytka Amelii zjeżdżały z góry na dół dając maksimum przyjemności niezbędnego ciepła.

– Tak... mi z zz zimnoo – wyjąkał pomiędzy przerwami ich pocałunków. Nie

zdziwiło to doświadczonej sanitariuszki, ale jak mogła mu powiedzieć, że więcej nie może z siebie wykrzesać!?

Wykrzesać...

To dobre słowo. Jej nieduże ciało i tak zrobiło tak wiele, aby go ogrzać, ale już na więcej nie mogła sobie pozwolić, bo sama by wtedy umarła, a nawet pomimo tego, po prostu była zbyt zmęczona ucieczką do wolności, aby móc mu pomóc.

Wiedziała, że nie może pomóc, ale musi dać radę. On na nią liczył, jak na zbawienie!

I ona go nie zawiedzie!

– Nie zawiodę – szepnęła do siebie i wzmocniła kojące masaż, na jego oziębłe ciało. Wśród ciemności ogier nie widział jej łez, które powolnie ociekały po jej skrwawionej twarzy, ale jeszcze mógł czuć ciało swojej wybranki serca.

– Serca nie oszukasz. Zabijesz się... – przerwał jej pocałunki i spoglądając w jej różowe oczy stwierdził, że nigdy nie czuł się tak dobrze, jak w tym momencie.

– Bez ciebie nigdzie nie idę. Rozumiesz!?

– Ja i tak umieram – położył swoje lodowate kopyto do jej twarzyczki. Ta się nawet nie wzdrygnęła, ale wiedziała co chciał powiedzieć. – Idź... ratuj się.

– Ja zabiłam Boarda. Uciekłam z obozu. Ścigali mnie i nadal to robią! Ty się mną opiekowałeś! Zabiją ciebie też!!! TO MOJA WINA! – być może powolne działanie narkotyków zmusiło ją do tego wyznania, możliwe też, że chciała wywołać reakcję szybszego pompowania krwi w jego organizmie na taką wiadomość.

– Miłość mnie zaślepiła, a w połączeniu z popełnieniem zabójstwa i skrywanymi uczuciami względem Boarda nie potrafiłam udźwignąć tego ciężaru i popadłam w postępujące szaleństwo. Wybierając najprostszą drogę do odzyskania pozornej równowagi popełniłam ‘samobójstwo niezamierzone’! – wpłatała się w psychiczną grę z zgorzowaną duszą ‘krwawego karła’ i pomimo zabicia go, przegrała tę batalię i wpadła w jego sidła szaleństwa.

Nie wiedziała, co już sama mówi.

Polic umierał, a ona obwiniała się o jego stan. Nie mogąc na to nic poradzić przycisnęła jego głowę do swojej gorejącej, żarem fabryki, piersi. Tyle mogła zrobić, co wprawiało ją w nieskończone opętanie.

– Co teraz? Powiedz mi... proszę – zaczęła szlochać, a jej ruchy natychmiast ustały, wypełniając się zimnem nocy.

– Jest... wyjście – mruknął niewyraźnie ogier. – Przetrzęsając czołg, tra... trafił... mam pistolet, jak... Luger, czy coś – Amelii natychmiast otworzyły się oczy, nie dowierzając w to co słyszy.

Czy on mówił poważnie!?

Śmiertelnie poważnie.

– Kochanie, ja się boję – mruknęła klacz odciągając jego twarz z swojego futra. Jej również robiło się zimno, a w środku ogień trawiący załogę Tygrysa umilkł zdając się miłym wspomnieniem. Przeczuwała, że koniec jest nader bliski...

– Jest... jedna kula – to brzmiało jak wyrok.

Jak to!? Jedno miało przeżyć, a drugie umrzeć!? Chociaż w tych okolicznościach, to oboje by zginęli, tylko zdecydowali, które odeszłoby szybciej od drugiego.

– Ciii. Coś poradzimy. Polic... poradzimy.

Nie mając niczego w myślach chwyciła jego głowę w kopytka i podniosła do poziomu swoich oczu. Było jedno rozwiązanie.

Tylko jedno!

Oboje czuli, jak ich wspólne ciepło ucieka z nich i nie ma zamiaru powrócić. Wpatrzeni w siebie, jak w obrazek, pomimo ciemności, zdawali się widzieć siebie jak w blasku wschodzącego słońca. Znaku Equestrii, znienawidzonego przez Sombrię, ale nie przez Polica.

– Gotowa odbyć podróż? – pewnie chciałby powiedzieć coś innego, ale tylko na to pozwalały mu obolałe wargi, gardło, krtań i sterujący tym wszystkim mózg. Usłyszał lekkie pomrukiwanie, jednakże z każdą sekundą i ono nikło w głuchocie świata.

To było to.

Teraz, albo nigdy.

– Nie żałuję niczego, co teraz powiem – powiedziała cicho niebieska pegazica do ucha swojego wybranka. – Equestrio... Ja, Amelia Sky potępiam ciebie! Skazuję cię na moje piekło! Bądź przekłeta, nieczuła sterto krwawych diamentów! PRZEKLINAM CIĘ! – po czym zaczęła płakać, wtulając się w jego ciało. Płakała ponieważ dopiero teraz rozpoznała prawdę, którą przysłał jej obowiązek spełnienia rozkazu i propaganda kraju, który miał miano jej domu.

Poznała, że miłość jest rzeczywiście ślepa. Nie ważne w jakich warunkach ktoś by się znalazł to miłość odnajdzie i jego.

Jej szloch niósł się echem po stepie, przepełniając świat goryczą po stracie swojej przyszłości, którą chciała dzielić z Polkonem. Nie ważne gdzie, nie ważne jak. Chciała być z nim do końca swoich dni. Wyrażała swój żal, smutek i szaleństwo, wylewając łzy na okrutny i nieczuły świat, który najwyraźniej chciał zabić tą miłość.

Jednak nie dała się mu. Miała miłość, którą ona sama zdobyła!

Polic, będąc na wpół świadomy swoich czynów przytknął swoją głowę do jej oblanых łzami ust. Mogli się znów pocałować, ale z ust ogiera wypadły te słowa:

– Śmierć nas nie szuka... to my ją znajdujemy. Jestem dumny, że mogę umrzeć z tobą na mym kopycie.

Przystawił jej lodowatą lufę Lugera do głowy, aż ta jęknęła w spuszczeniu swoich emocji, kiedy odchodziła z tego świata. Tego skurwionego i pozbawionego miłości świata, który wydawał się jej tak niemożliwie skonstruowany, że w sumie rzeczy mogła być pionkiem na jakiejś wielkiej planszy, na której bawi się ktoś pokroju ‘czerwonego karła’, ale ta opcja nie wchodziła w grę.

Ten pegaz nie pozwoliłby na takie coś, jak miłość, czy też zrozumienie drugiego, a co dopiero na tak prosty czyn, jak podanie kopyta drugiemu kucykowi.

To musiało być coś innego, potężniejszego i bardziej uczuciowego.

Polic nazywał to coś Stwórcą, a Amelia dopiero teraz mogła teraz również uwierzyć w jego słowa.

Nawet nie odczuła momentu śmierci, dokładnie jak jej ukochany. Pocisk kalibru dziewięciu milimetrów przeszedł przez obie czaszki, jak przez masło. Eksplozja krwi z niewielkiej rany w głowie pegaza rozbryzga się po twarzy Polkona, a z kolei jego krew utworzyła gejzer, który oblał pancerz wraku.

Pegazica legła na szyję ogiera, któremu głowa powędrowała do tyłu. Kopyto z pistoletem opadło, tworząc rodzaj śmiertelnego uścisku kochanków.

Odkorowało się bez większych drgań i podrywów. Polic elegancko wymierzył śmierć sobie i swojej żonie. Nie zmarnował strzału, a echo grzmotu poniosło się echem po stepie, obwieszczając światu, że następni odeszli stąd, aby nigdy nie powrócić.

Ich ciała objął we władanie chłód, a zbliżająca się królowa śniegu, chciała nakarmić swoje potomstwo jakim były lisy, wilki, orły i każde inne zwierze będące zimą za pan brat. Los nie pozwolił mieć parze dzieci, ale swoimi ciałami stanę się żywicielami dla wielkich i dumnych zwierząt, które inne kucyki szanują i traktują niemalże na równi z sobą.

Pegaz i kuc ziemny.

Klacz i ogier, Equestrianka i Polkon.

Sanitariuszka, która miała ratować życie i żołnierz, który szkolił się, aby je odbierać. Dzieliły ich tysiące kilometrów, sztandar, role w odgrywanej wojnie i podejście do jej samej.

One wszystkie zniknęły, jakby w ogóle nie istniały poprzez ich miłość.

Niezrozumianą, zlekceważoną, poniżoną i uważaną za upośledzoną.

Jednak to ona pozwoliła im przetrwać to niekończące się apogeum szaleństwa.

Splótł ich wspólny los, zrozumienie i miłość. Skończyli swoje sprawy w jednym grobie i jedną miłością przeciwko wszystkiemu.

Przeciw każdemu, kto w nią wątpił!

Zakończyli swe życie, aby mieć prawo nazwać się wolnymi i spędzić życie pośmiertne z tymi, których wybrali za życia.